

a kiedy odzyskała przytomność, powiedziałem:
„nie myśl, że jesteśmy takimi dobroczyńcami”, a
ona:

„odchrzańcie się”, powiedziała ordynarnie, po cham-
sku,

więc milczeliśmy, bo zrozumieliśmy, że zrobiliśmy
to, czego nie chcieliśmy, aby zrobiono nam, pode-
szliśmy do okna, na wprost naszego wspólnego miesz-
kania ze sznurem zwisającym od haka, z okna na
parterze wychodził łysy mężczyzna, po chwili znikł
za rogiem domu, uciekł ulicą Żelazną,

„bydlaki”, powiedziała,

więc milczeliśmy, bo zrobiliśmy to, czego nikt nie
miał prawa jej zrobić, czuliśmy w jej oddechu zapach
hormonów, on musiał wyjść, wstrząsały nim mdłości,
a ja poszedłem za nim i zapytałem: „chciała popełnić
samobójstwo?”

„nie mogę znieść tego smrodu, powiedz jej, żeby
zaczekała”, powiedział, wróciłem natychmiast i po-
wtórzyłem jego przykazanie przez drzwi łazienki, bo
się kąpała, widziałem, jak się rusza za matową szybą,
„rusza się”, myślałem, „ale nie wiesz się, nie”, my-
ślałem,

byłem już spokojniejszy, choć ręce mi się trzęsły
i grdyka chodziła, tak że mówiłem wyraźnie bełkotli-

wie, co poznałem po tym, że on nastawiał ucho za pomocą dłoni, nie umiejąc strzyc słuchami, głęboko oddychał hamując odruch wymiotny, więc musiałem odwrócić jego uwagę i powiedziałem, że czuję się tak, jakbym to ja się wieszał,

schylił się, na karku błysnął mu biały rąbek kołnierzyka, na czubku głowy kłosa łysinka, ręce złożył jak dwie połówki ryby, pyszczkiem do przodu, ale zaraz się wyprostował, popatrzyłem mu w twarz, oczy zwrócił ku górze i nadal nie panował nad sobą, jakby chciał coś z siebie dać, powiedzieć kilka słów ministrantury, ruszał wargami łapiąc powietrze, ale głosu nie wydawał, chciałem mu powiedzieć, żeby przynajmniej szczechnął, jeżeli go tak zatkało, zaśpiewał jak kos, parsknął niby kobyła,

dziewczyna podniosła powieki i zaczęła mamlać ustami, niemowlęcym gestem ssania wysuwała język, a rączkami przygarniała do siebie przestrzeń,

zbliżyłem się do niej, żeby zobaczyć to, o czym on nie miał siły mówić, chciałem się przekonać, czy ma rację milcząc w tak wymowny sposób, ale nie zauważyłem niczego szczególnego,

dziewczyna nie miała bruzdy na szyi, siedziała przed nami i patrzyła prosto w oczy w ogóle nie mrugając, rozdwoiła wzrok, jedno oko wpijając w moje lewe, drugie w jego prawe, zapewne chciała widzieć tylko dwoje oczu u jednej osoby, a cała jej wypowiedź to suchy kaszel, wydechany zapach kobiecego wnętrza, woń łagodna i już milsza, delikatniejsza, my zaś siedzieliśmy naprzeciw i przeciwnie, dyszeliśmy krótkimi, pojedynczymi słowami bez związku i sensu, jakbyśmy raczej pomagali sobie sylabami w oddychaniu, a nie komunikowali jakąś oczywistość, o czym tu było gadać, o polityce? o gospodarce?, wreszcie zebrałem wszystkie siły w całym sobie, zaciskając ręce na kolanach, i oddałem kilka następujących słów:

„tak też sądziliśmy, że zwlekanie rządu z reformą gospodarczą doprowadzi ludzi do samobójstwa, sami to przed chwilą pomyśleliśmy”, a on kiwnął głową, że się zgadza na to, co mówię,

„to, co on mówi”, powiedział, „to prawda, ludzie dostają po szesnastu paczek papierosów miesięcznie, o połowę mniej, niż im potrzeba do życia, dosłownie o dwie trzecie mniej, i dlatego traci się trzy czwarte pewności siebie, my mamy jeszcze jedną puszkę rybek w oleju, chcesz?”

ale ona nie ruszyła ani jednym muskułem, wydała tylko z siebie jeszcze jeden zapach, zapach dziczyzny, „czy to jest zapach twojego wnętrza?”, zapytał,

wreszcie, jakby rozruszana kilkugodzinnym siedzeniem naprzeciw nas, otworzyła usta, dwa płatki, które przy wydechu się rozchyłały i przy wdechu zasysały podobnie do zaworu bezpieczeństwa, oddychała bowiem jak wialnia, i powiedziała: „tak, to dwunastnica”, i mieliśmy już gwarancję, że będzie się odzywała coraz częściej,

następnego dnia rano wstała ze swojego krzesła, nałała wodę do trzech szklanek i postawiła na podłodze jako śniadanie, „być może tak pachnie mój przewód przełykowy i gardło, wszystko, co mam w środku, może płuca, tu jest mój list, który oddaje to, co się we mnie dzieje”, powiedziała i położyła kołową zapisaną kartkę, dopiero wtedy zauważyłem, że w pokoju nie ma mebli z wyjątkiem kilku krzeseł, ani żadnych wisiorów na ścianach, ani firanek czy zasłon, nie było łóżek i wychodnika dywanowego, a spowiedź w liście do żywych wyglądała następująco: „tu do roboty nie mam już nic i nikogo za to nie winię”,

„taka jesteś butna?”, powiedział, „że uzurpujesz sobie prawo winienia lub niewinienia?”

„a kto ci dał to prawo winienia i niewinienia”, dodałem całkiem od siebie,

„albo ludzie mi dali, albo ja sama sobie dałam”,
„niczego nie rozumiesz”, powiedziałem,

„wiele masz jeszcze do zrozumienia i zrozumiesz, jeżeli zrozumiesz jedną prostą rzecz, którą mogłabyś zobaczyć”, powiedział i wstał, żeby jej pokazać, a i ja wstałem, żeby zobaczyła jedną rzecz, którą można zobaczyć w ciągu kilku dni uporczywego patrzenia, to znaczy to, co zrobimy zaraz, więc zapytałem, „dokąd mamy iść? gdzie pracujesz?”,

napisała adres i poszliśmy załatwić to wszystko w przychodni,

stamtąd zanieśliśmy zwolnienie lekarskie do biura projektów planowania, gdzie do jej zadań należało stawianie ptaszków na wykazie przedmiotów codziennego użytku, bez których żyjący człowiek nie może się obejść, dyrektor od razu skreślił z dziewięciu dni zwolnienia dwa końcowe czerwonym długopisem i samowolnie wprowadził do legitymacji ubezpieczeniowej poprawki w datach, bo jego zdaniem żadna choroba w okresie rozwoju kryzysu gospodarczego nie może trwać dłużej niż tydzień, wróciliśmy jak najszybciej i wbiegliśmy do mieszkania jakby ze strachem na ramieniu, ale ona siedziała wyprostowana na krześle i nawet nie zauważyła, że jesteśmy z powrotem, więc daliśmy jej kromkę chleba z pomidorami, którą zjadła błyskawicznie, potem drugą, trzecią i piątą, była wygłodniała, ale jadła mechanicznie i wreszcie nasycona powiedziała matowym tonem bez akcentów:

„ostatnio, kiedy jem, zanim włożę chleb do ust, zamienia się w rzadką, zielonożółtą papkę, nie mogę jeść papek o takiej barwie, albo to samo z pasztetem drobiowym, jak się widzi taką maź brązową na nożu, chce się umrzeć”, powiedziała,

„ale teraz zjadłaś normalnie”,

„być może, ale to mnie nie przekonuje”, powiedziała i zamilkła na kilkadziesiąt godzin,

„powiedz coś wreszcie”, powiedziałem po zbyt długim milczeniu, „musimy tu tak siedzieć, gapić się na siebie i umierać z nudów?”

a ją coś tknęło i powiedziała: „a co się będę opieprzać, wszystko to chamstwo”, a on na to:

„my się z tym zgadzamy, ale z tego nic nie wynika, na szczęście, z tego, co powiedziałaś”

i ja dodałem do tego: „nie myśl, że jesteś taka piękna, jak ci się wydaje”, i tu ją dopiero ruszyło, ależ ją ruszyło, pierwszy raz w życiu widziałem, żeby kogoś tak mocno popchnęło, poczułem ukłucie w podbrzuszu, wstała, przeciągnęła się, powiedziała, że minęła jej złość, ale że jest tak spokojna, tak zrównoważona, że będzie musiała zginąć, bo nic tak człowieka nie wyprowadza z równowagi jak stabilizacja, i nie jest to żadna tautologia, powiedziała tautologia, a jeśli dobrze pamiętam z czasów, kiedy układałem hasła do słownika języka polskiego na prośbę mojej ciotki i bawiłem się w grzebanie po pisemnych rupieciach, to znaczyło to tyle samo, co masło maślane, więc rzecz mało nowoczesną,

„ach, co ty wiesz, co jest nowoczesne”, powiedziała, „czy ty w ogóle coś wiesz? co ty wiesz o moim życiu, o tym nadmiarze?”, zaczęła krzyczeć i biegać po pokoju, wracała do życia, łąziła szerokimi krokami i tu pała,

„co ona z tą nowoczesnością tak wyskoczyła”, powiedział i wstał, a ja z nim, żeby iść do miasta, bo wystarczająco posiedzieliśmy tu skazani na oglądanie gołych ścian, „przyklej się do ściany”, powiedział do niej, „mam dosyć filozofii na całe życie, na co nie spojrzę, to element filozofii lub jej implikacji społecznych, politycznych i gospodarczych, od Platona począwszy, nowoczesność! mam gdzieś nowoczesność, nowoczesność to nowe czasy i koniec, córciu, a nowe czasy są albo nowe, albo stare, rozumiesz, powiedz lepiej, kiedy ci

szajba odbiła albo kto ci tyłek skroił, to lepiej powiedz, a my już nie mamy czasu na nowe i stare, lepiej chodzić i nie marudzić”, powiedział i wyszliśmy, ale stanęliśmy za drzwiami i przyłożyliśmy uszy do szpary,

„słuchanie to mój genetycznie uwarunkowany nawyk”, powiedział, a ja dodałem: „a mój nawyk, bo uwarunkowany tym, że jadąc samochodem muszę zawsze wiedzieć, czy coś gra, czy nie gra”, on na to powiedział, że to mój nawyk był, bo już nie jeżdżę, a ona siedziała cicho i nic nie robiła, dlatego z hukiem otworzyliśmy drzwi i krzyknęliśmy:

„wylaź!”, i wtedy wyszła, przyłożywszy palec do ust, żeby się tak nie drzeć, bo sąsiedzi zaczną się ruszać i roić na schodach, a nagle poruszenie w tej klatce, gwizd otwieranych drzwi, furczenie języków, zgoła mogło to być nieprzyjemne, nie wiadomo, co by mogli powiedzieć, wszystko to wyszeptala syczącym szeptem, a my jeszcze bardziej wężowo, wijąc się przy niej, próbując wciąż ją rozruszać, syknęliśmy do ucha, ja lewego, on prawego,

„no więc, co straciłaś, mów szybko”, powiedzieliśmy cichutko, ja pierwsze słowo, on drugie, ja trzecie, on czwarte, lecz odpowiedziała:

„tego powiedzieć nie można”,

„pokażesz?”, zapytaliśmy,

„wstydzę się”, odpowiedziała,

„czego nie pokażesz? masz w poprzek?”, zapytaliśmy, poszliśmy, malowała się w locie, podciągnęła majtki i stanik, dopięła bluzkę, nogi miała bardzo grube, na jedną kulą jak skoczek wzwyż, a druga ją bolała, „boli cholernie, strasznie boli”, mówiła, ja machnąłem ręką, a on już ją wpychał do zatrzymanego auta, „panie”, powiedział kierowca, „mam benzyny na cztery kilometry”, a my:

„dobra, jedziemy cztery kilometry”, i dojechaliśmy

do skrzyżowania alei Świerczewskiego i Żelaznej, gdzie wszystko, co uprzątnąłem kilka dni temu, znajdowało się z powrotem na swoim miejscu, a nawet stos papy, ścinków i porozrywanych bel, które spaliłem wtedy na stosie, był na tym samym miejscu, na nim siedziała grupa podstrzyżonych mężczyzn o jednakowych twarzach, z kropkami zrobionymi pod lewym okiem, rzucali do siebie kamykami i śmiali się, zapluwając pomarańczowe kamizelki ochronne, przechodził starszy jegomość w podobnym przebraniu, więc na chwilę rozpierzchli się, to ten,

„to ten”, powiedziała pokazując palcem na nich i schowała się za nami,

„nie bój się, jesteś z nami”, powiedziałem, a on dodał, że z nami nic jej nie grozi, „możesz już iść do domu, tylko zjedz coś”, i poszła jak zmyta, oglądała się kilka razy i pokazywała rękami znaki, według mnie drogowe, według niego drukarskie, a my usiedliśmy przy barku, w którym przy napisie „hot dogs” wisiał przypis „nie ma parówek, z pieczarkami”, a zamiast szyby była wstawiona płyta wiórowa, i na miejscu ekspresu do kawy położono skrzynkę z wodą mineralną sztucznie mineralizowaną i gazowaną w zastępczych opakowaniach po oleju jadalnym, rafinowanym z rzepakowego pod smak oliwkowego, z przekreśloną etykietą i przystawioną pieczętką „norma polska NP 248-34-2229 dla wyrobów dopuszczonych do spożycia”, wypiliśmy i zjedliśmy, mając na oku grupę, w której znajdował się wskazany przez nią człowiek, i która wymieszała się z drugą grupą w stosunku trzy do dwóch, „obliczaj”, powiedział,